

Maria Konopnicka

Z WŁAMANIEM

nia tego izba sądowa była niemal pustą. Deszcz mżył od rana. rozchłapywało się błoto, jaki taki był kontent, że w domu siedzieć może. Zresztą świeżo ukończona sprawa panów Gradewitza i Hornszteina wyczerpała poniekąd ciekawość publiczną. Dowcipna obrona przybyłego z daleka adwokata, której urywki chodziły z ust do ust po mieście, delikatnej natury badanie biegłych, zeznania świadków ze sfer wyższych, wreszcie przybycie pięknej pani Lunia, która dla dania objaśnień przerwać musiała kurację w Francesbadzie i przywoziła stamtąd nowe toalety wraz z odświeżoną twarzą i przepyszną parą złotoczarnych oczu, wszystko to podniosło sprawę ową do znaczenia kulminacyjnego momentu w jesiennej kadencji pińskiej, po przebyciu którego zainteresowanie się nią publiczności szybko opadać zaczęło. Wiedziano, że na wokandzie stoją same chłopskie sprawy, przy których posiedzenia wloką się jak smoła i które nie następczą sposobności ani do świetnych wystąpień adwokatury, ani do eleganckich zebrań towarzystwa. Sami panowie przysięgli byli tegoż zdania. Po hotelach potworzyły się partyjki wista, preferansa, bakarata; wstawano od kart późno, spano długo, jedzono obficie. Od zajazdu do zajazdu latały miszuresy kłapiąc pantoflami po drewnianych, wysoko nad kałuże błota wzniesionych chodnikach, a ruch w handlach win, likierów i delikatesów ożywił się niezmiernie. Za to przed salą posiedzeń sądowych ulica pustoszała z dnia na dzień. Nikomu teraz nie szła tędy droga, nikt tu nie miał interesu przystanąć, pogadać, faktorzy nawet zaglądali z rzadka, a zajrząwszy spluwali przez zęby. Istotnie, aż obrzydzenie brało na pustkę, jaka się tu nagle po niedawnym ścisku zrobiła. Tego bowiem chłopstwa, które się tu zbierało kupkami z Wołhatycz, z Krynek, z Zahajnego, z Mytryk, z Dołhuszek, z Korniatów, tych kozuchów tracących smołą i polem nie było co i liczyć nawet. Co można, proszę, wycisnąć z Poleszuka, który do miasta przychodzi z okrajcem czarnego chleba za pazucha- z garścią tołkanicy w szmatce i żywi się tym przez dni trzy i cztery, bez grosza przy duszy, po który by warto choć na śledzia sięgnąć? Oczywiście, że nie. Już kiedy rudy Judko między nich nie chodził, to znak najlepszy, że nie było po co. Ten dalej czuł pusty mieszek niżli woń padliny. Ale jednego dnia brakło i tych chłopskich kupek. Porozchodziło się to, każdy za swoją biedą. Sadzono sprawę ostatnią, która wisiała na wokandzie na samym ogonie, niczyjego zajęcia nie budząc, nikogo nie obchodząc wielce. Nędzna jakaś .spraw ina o sery i masło.- Mizeria! -Jak mówił dowcipny pan Hieronim rozdając karty do wista w zajeździe Szyi Froima. Nikt się też do tej "mizerii" nie śpieszył. Dwie baby- jedna w kozuszku, w butach, druga w andaraku tylko, w zawijach i w płacie, weszły przed chwilą w bramę sądowego gmachu i znikły w głębokiej sieni. Jak okiem zajrzeć, ulica na wskroś była pusta; strzelać by ma można choćby do Leszcza albo do Porzecza. Tylko pod murem przeciwległego izbie sądowej domu stał did, w obszarpanym kozuchu i wyrudziałej, na uszy związanej czapie, która się niewiele różniła kolorem od jego skołtunionych włosów i ryżawej brody. Did nie stary był jeszcze, ale srodze ospą zgryziony: a i wódka zostawiła na nim swe ślady. U ozutych w postoi nóg dida siedział na zadnich łapach mały, bury pokurc, uwiązany na sznurku u kosztura, który włóczędze za podporę służył. I did. i pokurc patrzyli w okna sali oświetlonej wcześniej, jarząco, ale did patrzył obojętnie i tępo, pokurc zaś z widocznym niepokojem i oczekiwaniem. Tymczasem wiatr jesienny świstał po ulicy jak po gołym polu. Chwiejąc złotymi płomieniem latarni, rozwiewając brodę dida i łatany kozuch: a

ile razy silnie zadał, skóra na pokurciu zaczynała drżeć mocno, a psina skomlił krótkim, żalnym piskiem, rwać się nieco ku sądowej bramie. Nie biegł wszakże, ale kopnięty grubą nogą dziada przysiadł i wkuliwszy ogon pod siebie, z najwyższym niepokojem patrzył w okna sali. Tam wszakże jasno było, cicho i bezpiecznie. W lekko ogrzonym powietrzu chwiały się po ścianach wesołe płomyki gazu ukazując złocenia świeżo odnowionego sufitu; szare, opuszczone w wysokich oknach stopy nadawały sali mimo jej znacznych rozmiarów jakiś charakter zaciszny, domowy niemal: szeregi pustych ławek stały poważne, milczące, zagłębiając się aż pod niewielką galerię, na wysokości półpiętra wprost sądowego stołu wzniesioną. W jednej z tych ławek, tuż przy drzwiach schodowych, czernił się punkt ciemniejszy. Był to woźny, który widząc, że nikt nie przychodzi, na palcach do ławki podszedł, poły munduru z całym uszanowaniem dla urzędu swego rozganiał, przysiadł, zgarbił się i cichaczem tabakę niuchał. Pan prokurator stał teraz w pełnym świetle zawieszającego się od stropu świecznika. Był to mężczyzna nie pierwszej młodości, słusznej tuszy i powolnych ruchów. Szeroka łysina jego dużej, okrągłej głowy błyskała jak tarcza wypolerowana, twarz miał mięsistą, oczy blade, wypukłe, złotymi okularami nakryte, wąs jasny, obfity. pełny zarost brody i policzków, spojrzenie osowiałe nieco. Mówił głosem przyciężkim, trochę może monotonnym, ale ciepłym i od serca idącym. Tak w rysach twarzy jego. Jak w całej postaci rozlana była pewna dobroduszość, ludziom otyłym właściwa, która z rolą publicznego oskarżyciela mało się zgadzała zdawała. Stojąc tak u szczytu stołu, wprost amfiteatralnie ustawionych pod przeciwległą ścianą ław panów przysięgłych, miał pan prokurator po prawej ręce stołki i pulpity obrońców, a po lewej świetne mundury prezesa i asysty jego. Prezes był zagłębiony w swoim fotelu, głowę miał lekko na pierś sklonioną, ręce na poręczach oparte; z lewej i z prawej jego strony siedziało po dwóch jeszcze panów, z których jeden przeglądał papiery, a drugi bawił się wkładaniem w oko monokla i wyrzucaniem go małym, niemalże niewidzialnym ruchem nosa. Mimo to, na mowę prokuratora zdawał się zważać pilnie, a drugie jego, nie zajęte oko nieruchome było i iakby marzące. Na ławie przysięgłych jak zwykle pstrocizna, rozmaitość ubiorów, stanów, fizjonomii, wieku; wszystkie te rysy atoli powlekał i podobnymi je sobie czynił jeden wspólny wyraz znużenia. Pod koniec kadencji jest to zjawiskiem tak zwykłym, tak w porządku rzeczy leżącym, iż trzeba niezmiernie zajmującej, trzeba kapitalnej sprawy, żeby tchnąć życie w te znużone twarze. Ale dziś takiej kapitalnej sprawy nie było. Dość spojrzeć na jednego siedzącego przy bocznym stoliku obrońcę, żeby się poznać na tym. Trudno istotnie o dyskretniej ziewające usta i bardziej zmrużone oczy, niż je miał pan ten, oglądający najpierw paznokcie lewej ręki, potem paznokcie ręki prawej, potem znowu lewej, potem raz jeszcze prawej, a wreszcie obu rąk razem. Już po tym jednym poznać można było, że jest to obrońca dodany z urzędu. Obrońca dodany z urzędu zwykle miewa coś do czynienia ze swymi paznokciami podczas mowy prokuratora, jeśli tylko nie nawiedzi go pod tę chwilę dzwonienie w prawym albo w lewym uchu. Niekiedy także kreśli na leżącym przed sobą papierze literę S lub literę L z niesłychaną, córa/rosnącą szybkością, o czym wszakże zdaje się sam nie wiedzieć i dopiero kiedy mu miejsca na ćwiartce zbraknie, budzi się z tego oczarowania i patrzy po obecnych lekko zdziwionym wzrokiem. Minuta ubiegała za minutą, małe trzaskanie płomyków gazowych odzywało się jednostajnym szmerem, z ławki, w której siedzieli świadkowie, dobywało się silne sapanie, przerywane od chwili do chwili nagle urwanym chrapnięciem. Czerwonym suknem nakryty stół jarzył się od świateł, od błyszczących lichtarzy, kryształowych przyborów do pisania, od rżniętej karafki

i szklanek odrzucających małe tęcze załamanych światła, a nade wszystko jarzył się od bogato haftowanych, strojnych w gwiazdy i wstęgi mundurów. Wszystko tu było jasne, wspaniałe, dostojne: wszystko też wydawało się pełne dobroci i łaski. Srebrny, stojący na stole krzyż skupiał w sobie promienie świecznika, odbite od szerokiej, pełnej łagodnych wyniosłości i spadków łysiny prokuratora i odstrzelał je aż na błyszczący bagnet stojącego u drzwi żołnierza. Co wszakże mogło się zdawać dziwnym w tej sali, to, że zgoła nie było w niej widać podsądnych. Wysokie, do zamkniętych kościelnych stalli podobne ławy oskarżonych zdawały się zupełnie puste. Mniemać by można, że cała ta wspaniałość, cały przepych sadu skierowane są ku jakiejś bezimiennej i bezosobistej winie; mniemać by także można, iż tę wielką maszynę sądową puszczono w bieg na próbę tylko, jak się puszcza pierwszy pociąg kolejowy po nowo usypanym torze. Tak przecież nie było. W pustych na pozór ławkach dawał się słyszeć kiedy niekiedy mały szmer, podobny do tego, jaki wydają myszy; czasem także tupotało tam coś bardzo podobnego do licznych stóp bosych. Tak króliki w jamce pod przyciesią komory schowane, niewidzialne dla oka, tupocą po ubitej glinie. Pan prokurator kończył swoją mowę. Była to jedna z tych mów, których wszystkie zwroty z góry przewidzieć się dają. Temat był potoczny i tak otarty jak najlepsza sanna; dość było puścić w ruch słowa, żeby same poszły. - Drobne przestępstwa - mówił - jak drobne szczepy. Z drobnych szczepów wyrastają drzewa, a z drobnych przestępstw zbrodnie. Cóż to jest przestępstwo małe, a co jest przestępstwo wielkie? W zasadzie jest to zawsze toż samo targnięcie się na prawo, ten sam zamach na porządek społeczny. Gdyby sprawiedliwość częściej wypalała najpierwszy zaród winy, trąd zła nie ogarniałby mas całych z tak fatalną i niepościągniętą siłą. Przestępca w czas ukarany to często ocalony człowiek, ale za późno jest sięgać po głowę naznaczoną haniebnym piętnem win niezmytych i niepewetowanych. Zawiesił głos i wypoczywał, sapiąc z lekka. Właściwie mógł albo skończyć na tym, albo mówić dalej. Miał drogę otwartą na oścież i w tę, i w tę stronę. Przez chwilę zdawało się nawet, że skończy; sam może przelotnie myślał o tym. Jako łagodny, dobroduszny człowiek nie lubił on tych wszystkich apostrof do sprawiedliwości, które każdą prokuratorską mowę kończą obowiązkowo niejako. Miękkie miał serce w ogóle, a co już w tym wypadku, to mu się rzekłszy prawdę, i nie chciało nawet występować cum apparato belli, po prostu cała sprawa nie była tego warta. Pomyśleć tylko: trzy sery i osełka masła. - Boże ty mój! Toż nasz brat z rzodkwią na śniadanie radę by temu, duszeczka, dał! Ale pan obrońca, który już pod koniec mowy prokuratora niepokoić się zaczął, rzucał teraz na odpoczywającego mówcę krótkie, urwane spojrzenia. Rzeczą było widoczną, że na coś oczekuje i czegoś się lęka. Jakoż zwrócił powolnym ruchem pan prokurator wypukłe swoje oczy na stół, gdzie jako dowód rzeczowy leżał dość długi, zakrzywiony z jednego końca patyk, taki właśnie, jaki ogrodnicy zakładają na żerdkę dla zbierania wiosną liszek z grusz i jabłoni, a który nazywa się kulką. W tej chwili pan obrońca drgnął i spuściwszy oczy, pilniej jeszcze niż przedtem paznokciom swoim przyglądać się zaczął. Ale jeśli pan obrońca na paznokcie patrzył, to na obrońcę patrzył pan prezydujący, a patrzenie to trwało tak długo i tak szczególnym mieniło się wyrazem, aż piękne, podłużne oczy prezesa niemal zupełnie skośnymi się stały. Tymczasem prokurator głos zabrał: - Jeszcze słowo - rzekł. - Jest okoliczność, która winę oskarżonych niemało obciąża i prawo do tym większej surowości skłania: okolicznością tą jest, że przedmioty - stanowiące istotę czynu karnego zabrane zostały spod zamknięcia, spod klucza, że owszem, zamknięcie samo uszkodzonym zostało. Bezprawie, jakiego się w tym wypadku

dopuszcili oskarżeni, jest tak występne i potępiania godne, iż samo jedno wystarczyłoby do zwrócenia przeciw nim całego ostrza karzącej sprawiedliwości. Oto leży przed wami, panowie, dowód niezbity ich winy! Oto owo narzędzie występku, które dopomogło oskarżonym do spełnienia jednego z najśmielszych przewinień, jakie przewiduje prawo. Wzywam was, panowie przysięgli, abyście w niniejszym wypadku dali dobitny wyraz słusznemu oburzeniu waszemu, oburzeniu całego społeczeństwa! Skończył i jakby w tej chwili dopiero sam mowę swoją usłyszał, zadziwił się i osowiałym, niepewnym wzrokiem po obecnych powiódł. Co u biesa! Taką pobłażliwość, taką miękkość w sobie czuł, a tak ostro palnął! Nie miał zamiaru! Dalibóg, nie miał zamiaru! A patrzże, duszeczka, jak wyszło! A?... Ot, przywyczka! Ot czyn! Udawał Iwan wilka, udawał aż i kozę zdusił! A?... Roześmiał się w sobie z cicha, machnął ręką i nieco ciężko opuścił się na fotel. Tymczasem mały szmer powstał za stołem i w ławkach. Ten i ów poruszył się, zaszeptał, odchrząknął; ten i ów wyciągnął szyję, żeby spojrzeć na występny patyk. Łyczkowa tabakierka krążyła pomiędzy świadkami. Ktoś kichnął, ktoś inny życzył mu zdrowia, tym pocziwym chłopskim szeptem, co go to o pół stajania słyhać, ktoś ziewnął, aż mu w szczękach trzasło. Ale woźny posuwał się milczkiem na sam brzeg ławki i pilnie ku stołowi patrzył, jako że to strzeżonego i sam Pan Bóg strzeże. Nikt wszakże chwalić Boga, nie poglądał stamtąd, Za drzwiami tylko, w zimnej poczekalnej izbie słyhać było szurganie stóp bosych i wycieranie nosów żalose, płacziwe, z westchnieniami i szeptem zmieszane. Woźny tym sobie bynajmniej nie turbował głowy. Wiedział on doskonale, że to tylko baby. Bez bab się żadna chłopska sprawa nie obejdzie, choćby też o kozik. Wiadome rzeczy, jako są baby na wszelakie żalose łakome. Druga się tak miodem nie uraczy albo i wódką z pieprzem, jak postękiwaniem i płaczem: czy ma o co, czy nie ma o co. Ledwo sprawę do sądu skrzykną, już się to do miasta procesją wlecze, już pode drzwi lezie, już knycha. Dużo im to pomoże! Akurat! Tu woźny krzywi się i uśmiecha wzgardliwie. Plunąłby, taka go obrzydliwość przeciw babom zbiera, gdyby nie to, że na miejsce zważa. W tej chwili słyhać dzwonek prezydującego: pan obrońca ma głos. Pan obrońca podnosi się ze stołka i przez chwilę nie wie, co począć z długimi rękami w przykrótkich rękawach. Opiera je wreszcie o pulpit i podnosi czoło, na które mu wybija lekka, przemijająca czerwoność. Jest to niepokazny człowieczyna z pochylonym grzbietem i zapadłą piersią. Twarz ma zwiędłą, obojętną, spojrzenie przygasłe i wysokie, łysiejące czoło. Głowy nie trzyma prosto, ale ją przechyla to na jedno, to na drugie ramię, przy czym zmrużą to jedno, to drugie oko, uderzając wzrokiem z dołu w bok, jak to czyni kania. Zwiędłe, cienkie jego wargi rozszerzają się szczególnym uśmiechem wtedy nawet, kiedy mówi zupełnie poważnie; momentu tego wszakże niepodobna z całą ścisłością oznaczyć, ponieważ i to, co mówi poważnie, ma w sobie coś ze smutnego żartu, i to, co mówi żartem, ma surowość rzeczy koniecznych i nieuniknionych. W ogóle podobnym on jest do człowieka, któremu chce się gorzkich drwin z samego siebie. Niepoczesna to była figura: klienteli prawie że nie miał, w kancelarii swojej pusty stołek przed dodatkowym biurkiem nic wiedzieć po co; trzymał, bo pomocnika, jako żywo nie potrzebował i nie wiadomo nawet, czyby się zgodził z kim innym niż z pustym stołkiem. Powstawszy pan obrońca przerzucił głowę z lewego ramienia na prawe; rozszerzył usta jedną stroną, rozszerzył w drugą, podobnie jak to czyni szewc ciągnący skórę, strzelił workiem w bok, wprost w haftowany mankiet porządkującego notaty swe prokuratora, i rzekł bezbarwnym, obojętnym, nieco rozwlekłym głosem: - Zadanie moje, Wysoki Sądzie, jest nader łatwym zadaniem, powiedziałbym nawet, zadaniem wdzięcznym, gdyby nie było rzeczą

uznaną, że wszystkie w ogóle zadania ludzkiego życia są rzeczą niewdzięczną. Ale o to - mniejsza. O cóż tu idzie? Idzie o zjedzone masło i sery. Jako obrońca dodany z urzędu pojmuję całą ważność tego przedmiotu i winy powierzonych mi klientów bynajmniej zmniejszać me myślę. Świetna mowa pana prokuratora nie dozwala mi nawet tej alternatywy. Skoro zło małe jest tym samym, co i zło wielkie, po co je zmniejszać, pytam? Czy nie byłoby to toż samo, co je powiększać? Otóż nie mam zamiaru wydawać się w grę tak niebezpieczną. Zresztą, na co to wszystko? Właściwie cała nawet obrona moja jest rzeczą niepotrzebną, zbyteczną. Oskarżeni nie zapierają istoty czynu. Tak jest, Wysoki Sadzie! Zjedli oni trzy krajanki sera i cały funt masła. Może nawet więcej niż cały funt masła, jak utrzymuje strona poszkodowana. Może! Takim hultajom apetyt służy zazwyczaj wybornie. Zamilkł, przerzucił głowę na drugie ramię, a wzrok jego padł na złoty łańcuch prezydującego. - Ja, na przykład - mówił dalej - masła nie jadam wcale; sprawia mi ono gorycz w ustach i palenie w dołku, podobnie jak i wszelkie inne tłuszcze. Wszelako skłonny jestem wierzyć, iż takie zdrowe, takie chłopskie, prawdziwą zazdrość budzące żołądki mogły strawić funt masła cały albo więcej nieco. Co jest wszakże rzeczą ciekawą i zastanowienia godną - dodał rzuciwszy głową jak bilardową kulą na przeciwne ramię - to to, w jaki sposób masło owo spożyte zostało: z chlebem czy bez chleba? A jeśli z chlebem, to skąd oskarżeni chleb ów mieli? Bo to, że nie dostali go w chałupie od matki, jest więcej niż pewnym. Kto ma teraz chleb w chałupie, moi panowie? Nikt zgoła! Rok był zły, chybiły żniwa, żyta nic obrodziły, kartofle wygniły, owsy poczerniały, jęczmiona zaschły na kłoszeniu, lebioda nawet licha była. gorzka i robaczna. Urwał, rozciągnął usta, zwinął je, znów rozciągnął i tak je wykrzywił, jakby sam owej lebiody próbował i dotąd czuł jej gorycz. Po chwili mówił dalej: - W pustych żarnach chłopskich, moi panowie, myszy gniazda ścielą; baby powymiały ostatki krup bodni, nie ruszane dawno dzieże zeschły się po komorach na klepki. Panów to zadziwia, że mam tak dokładne wiadomości o tym, co się dzieje na wsi, kiedy chybią żniwa? Jestem syn chłopski, moi panowie, chłopskie plemię, za pozwoleniem Wysokiego Sądu, i pamiętam doskonale, jak praży bieda, kiedy żyta nie obrodzą, a ziemniaki zgniją! Pierwszy raz w ciągu tej mowy głowę sprostował nieco i z góry na słuchaczy spojrzął. Zdawało się nawet przez chwilę, że obojętny wzrok jego zatlił się wilgotnym żarem. Wnet wszakże przybrał zwykłą swą postawę i spuściwszy oczy tak rzecz prowadził dalej: - Nie jest to bynajmniej dla biegu sprawy okolicznością obojętną, że w takim złym, niepomyślnym roku na dziesięć chłopskich żołądków bywa dziewięć pustych, bo jeżeli obronę, jakiej dostarcza klientowi adwokat, uważam za błahą i bezużyteczną, to przeciwnie, najwyższe znaczenie przypisuję temu wszystkiemu, przez co sprawa sama się broni. Jeżeli tedy Wysoki Sąd uznaje słuszność tej mojej skromnej opinii, to stawiam wniosek, aby doraźnie wezwać oskarżonych o wyświechtanie tego ze wszech miar interesującego momentu sprawy. Procedura nic nie straci na tak małym wyboczeniu i. drogi utartej praktyką, a panowie przysięgli zyskają niewątpliwie wszechstronniejszy pogląd na sprawę z punktu pominiętego w pierwiastkowym śledztwie z godnym pożałowania pośpiechem. Tu urwał i nagłym błyskiem zmrużonych oczu uderzył z dołu w inkwidenta, który w tej chwili zachłysnął się i poczerwieniał jak gdyby pochwycony za gardło. To przymówienie się adwokata, nie będące niemal właściwą obroną, a grożące rozwleczeniem sprawy nad zakres czasu, w jakim zamierzano ją ukończyć, nie mogło się, rzecz prosta, podobać nikomu. Pierwszy woźny objawił niezadowolenie swoje wzruszając ramionami, parszcząc z cicha w saperskie, przystrzyżone wąsy; wszakże uspokoił się

natychmiast, a zagłębiwszy dwa palce w tabakierkę usiłował ograniczyć swoje poruszenia do jak najmniej widocznych zbliżeń między tabaką a nosem. Właściwie co mu było złego siedzieć tak i słuchać? Co innego, gdyby stał przy drzwiach, wtedy, oczywiście, należałby do opozycji. Tymczasem za stołem ten i ów poruszył się w fotelu w sposób nie pozostawiający żadnej wątpliwości, że wystąpienie pana obrońcy potępia i wprost je uważa za niewczesne drwiny. Skąd znów taka nowa jurisprudencja, żeby oskarżonych przed ostatnim przymówieniem się do wyjaśnień w toku rozpraw wzywać? Czy nie jest to samowolność, niczym nie uzasadniona? Gonienie za pustym efektem? Za oryginalnością? Niemniej i panowie przysięgli kręcili się w ławkach jak wijuny, gdy praży słońce. Dokądże ich, u diaska, trzymać tutaj myślą? Pula nie rozegrana, szczupak na dziewiątą u Froima, a tu nowa heca! Na kata się zdała taka robota, kiedy ani zjeść, ani wypocząć me można swojej porze! Jeden tylko prokurator patrzył na obrońcę ze współczuciem, i on wprawdzie uznawał pewną niewczesność tych rekryminacyj, owszem skłonny był je uważać wprost za wybieg prawny, ale z drugiej znów strony czuł się pociągniętym do mówcy tajemną sympatią. W lot pochwycił pan obrońca ten delikatny odcień na wyrazistej twarzy prokuratora, a ponieważ pan prezydujący milczał bębniąc nerwowo o poręcz fotela, co można było sobie tak i siak tłumaczyć, skłonił się z lekka ku stołowi i rzuciwszy głową jak piłką z lewego ramienia na prawe, rzekł: Pozwalam sobie wniosek mój ponowić i najusilniej przy nim obstawać. Wysoki Sąd nie może być obojętnym na korzyści, jakie sprawie przynieść może wyjaśnienie wskazanego punktu. Nie jest to jednym i tym samym, czy ser i masło zjadł ktoś z chlebem czy też zamiast chleba. Na różnicę tę kładę nacisk. Jest ona ważną, jest ona decydującą. Gdy zaś ani świeżo ukończone badanie świadków, ani strona poszkodowana żadnych nie dostarczyły w tym względzie wskazówek. to jasne, iż trzeba zasięgnąć wyjaśnień u samych obwinionych. Pan prezes pozwoli... - dodał skłoniwszy się lekko i zawieszając głos w oczekiwaniu. A gdy kategorycznej odmowy nie było, zwrócił się do stojących poza sobą ławek i w chłopskim narzeczu Poleszuców krzyknął: - Chadzicie, rabiata ! Natychmiast w ławkach. które się dotąd wydawały puste, zakotłowało się. zadudniło od licznych stóp bosych i z głębi zaczęły się wysypywać małe, szare postacie. - Bliże! - zawołał adwokat, któremu wzrok rozbłysnął nagle. Małe szare postacie zaruszały się, zakłębiły i posunęły ku obrońcy krokiem. - Szcze bliże! - krzyknął znowu jakimś świeżym, młodym, jak gdyby w polnych rosach opłukanym głosem. - Szcze bliże ! Wszystkich ich teraz dobrze widać było. Zapędzili się i stanęli zbici w kupkę jak te owce siwe. Pięciu ich było. Chłopcy drobni, przymizerowani, spaleni wiatrem i słońcem. Najstarszy mógł mieć lat ze czternaście może. najmłodszy z dziesięć, albo i mniej jeszcze. Ot, poganiacze wiejscy od gęsi. od cieląt, od drobnego statku, a może i wprost z chałupy Nisko podcięte, konopiaste i czarniawe grzywy zakrywały im czoła, policzki mieli śniade, zapadłe nieco, miny nastraszone i ciekawe. Na jednych grzbietach wisiały płócienne świtki, na drugich półkożuszki porwane, różną nicią szyte: najmłodszy miał tylko siwą koszulinę pacześną, wypuszczoną powierzch na także okręcone sznurkiem u bosych nóg porcięta. Czapki trzymali w obu rękach, przyciskając je silnie do piersi; oczy mieli wytrzeszczone, otwarte usta, wyciągnięte, cienkie jak u wróbla szyje. Przemówił coś do nich jeden pan zza stołu. ale nie zrozumieli tego. Roztargnione ich spojrzenia błędziły po świetnych mundurach, po złotych ramach wiszącego w głębi obrazu, zatrzymywały się na dzwonku, na błyszczących kałamarzach, na srebrnym krzyżu, na czerwonym suknie. - Ojej, co tu bogactwa różnego! Ojej, co tu bogactwa! Mały Chwiedoś nie był zgoła pewny, czy panowie za stołem są żywi, czy też tylko taka o mełka i w wątpliwości

tej szturchnął w bok Benedycia, wskazując głową na prokuratora. Ale Benedyc i nie poczuł tego. Był on cały pochłonięty widokiem łańcucha na piersiach pana przydującego.- Boh mi ! A jaka jasność! Jakie gromnice! Wielka bogatość! Okropnie wielka bogatość! „Kab jeść dali - myśli przezorny Łuc patrząc spode łba nieufnie - to tylko stać a patrzeć, u dziwować się światu!" Chwieje głową i zadziera konopiastej grzywy ku gorejącemu nad nim świecznikowi, który mu się wydaje większym i daleko piękniejszym od słońca. Ale najstarszy z chłopców, Ustim, jednak Chwyłyny wdowy, co już od roku dworskie źrebce pasa, miarkuje sobie, że kiedy ich tu w taką paradę wpuścili, to już ci nie dla śmiechu. Jest to chłopak bystry i roztropny. "Oho!" - myśli, a jego śniada twarz obleka się nagłym niepokojem. Wie on dobrze, jako był przyczyną do zjedzenia owych serów i owego masła; już ci to tak na sucho nie ujdzie. Koza jak koza. strachu nie ma, a to jakby w chałupie, bo i brudno, i głodno tak samo. Ale w takiej paradzie, w takim państwie to tu inaczej pójdzie, oho! Już ich tu panowie pewno nie po co wzięli, tylko żeby w skórę krzyknąć... Oho!... Przepłuje z nogi na nogę i ściska rękę, kuląc między ramiona długą, cieką szyję. Chwilami zdaje mu się, że uczuwa ból w okolicach słabizny i niespokojnie obziera się za siebie. Nic mu wszakże me grozi z tej strony. Tuż za nim stoi Klim, mały gęsiarek z ostatniej pod borem chaty. Ten jest jak oczarowany. Od kiedy go tu wpuścili, oczy jego chodziły kołem po suficie, który widać było z głębokich, zamkniętych ławek; teraz obejmują salę spojrzeniem rozpalonym, marzącym.- Kab husi widziały!... A mamaż ty moja, kab widziały! Kościół nie kościół, a jakby się śniło... Gdzie! Na najcieplejszym zapiecku nie przyśnią się takie dziwy! Na pacierzu nie zmówić!... Na surmie nie wygrać, choć i na najdłuższej... Mamaż ty moja!... Kab husi widziały! "Mama" mówił ot tak z głupoty z nawyczki tylko; sierotą bowiem byt i ludzie go tak ot przygarnęli, z miłosiernego serca i wedle gęsi, które lis po przydrożkach chwycił; do stadka zaś swego tak przywykł, że je uważał za najbliższe przyjaciółstwo swoje, i tego tylko żałował w tej chwili, że gęsi jego tych dziwów nie widzą. Tymczasem Ustim pilnie nastawił uszu; zdaje mu się, że o chlebie mowa. Natychmiast uczuwa mdłość wielką i wciągnawszy w siebie brzuszynę zawściąga pojaska, który mu pod żebra opadł. „A co? - myśli, przerzucając się od strachu do nagłej otuchy - a co? Dadzą może chleba, taj puszcza!" Spojrzał ku stołowi podejrzliwie, badawczo. "E... może i nie dadzą! Nie widać jakoś, żeby chleb gdzie leżał... Gdzieżby!" Wątpliwość uderza w niego z nową siłą. Mimo wszystko nie czuje się on tutaj dość bezpieczny. Już to tam nie poradzi! Już to tam prędzej będzie źle niż dobrze! Ogląda się z wolna w bok i spostrzega przy drzwiach żołnierza. Natychmiast z szybkością błyskawicy spuszcza oczy i zaczyna silnie mrugać długą, jasną rzęsą. Powieki jego wyglądają w tej chwili jak cienkie, z śmiertelnym pośpiechem bijące w żarze skrzydełka ćmy na wpół spalonej. Nagle słyszy, że do niego mówią. Ten sam pan mówi. co zawołał chadzicie. Rozumie go doskonale. Pan zapytuje, czy ten ser i masło zjedli z chlebem?- Z chlebem?... - Podnosi oczy, uśmiecha się. pokazuje drobne zęby i kręci głowę. Całe zaleknienie opuszcza go natychmiast, gdy usłyszał, że do niego tak mówią jak we wsi. Ale to, że go o chleb pytają, wydaje mu się po prostu zabawnym. Skądżeby oni chleb wzięli, kiedy tam chleba nie było? Do puklidu baby nie chowają chleba. Jak chleb jest to go chowają do bodni albo w inne babie kłaze, a w puklidzie skądby?... Chleba i nie pieką teraz nawet, we wsi żyta mało. A toby Pan Jezus dał, żeby na siew nie brakło... Nie wypowiada tego wszystkiego. Gdzie, nie śmiałyby i wstyd by mu było, ale myśli w sobie to wszystko i uśmiecha się i precz kręci głowę. Pan obrońca me nalega- Zna on widać doskonale ten

uśmiech Poleszuka przeczący; wie, że słowem zełgać zełże, ale takim uśmiechem nigdy.- A kiedyżeś ty chleb ostatni jadł? - pyta nagle, zwróciwszy się do chłopca. Ustim podnosi głowę i zaczyna przypominać sobie. Jest chudy i długi; podniesiona głowa robi go dłuższym jeszcze. Wyciągnięta szyja jest tak cienka, iż zdaje się, biczem przetrząsnąć by ją można; zza rozpiętego kołnierza koszuli widać głębokie doły obojczykowe, na brodzie i dolnej szczęce skóra tak przyschła, jak u starego człowieka. Liczy najpierw na dnie, ale tych jest za wiele, nie idzie mu jakoś; zaczyna tedy liczyć na niedziele, ale i to mu nie idzie. Rozpoczyna raz jeszcze głośno i liczy na jarmarki. Tak, teraz dobrze! Teraz wie, kiedy to było i teraz pamięta... Dziecięca, żywa wyobraźnia odtwarza przed nim całą tę chwilę z zupełną dokładnością.- To było na dwa jarmarki przed tym, co byt ostatnim, to było na Pyłypa... Matka sprzedała wełny, a kupiła chleba. Dwa bochny kupiła i kukielkę dla Zochfijki od sąsiadów jeszcze... Chleb pachniał... W zapasce go niosła, a on przy matce biegł... Szli prędko, bo się słonko za chwozdok chyłało... Tyt Żeliznyj pod rozświetnią trojnił. Idziem, tak matka mówi: „Sława Bohu” Tak Tyt odrzekł: „wo wik” i pyta: „A co niesiesz, Chwyłyna?” A matka: „chleba a to kupiła”. A Tyt: „Cóż ty, wesele robisz, że chleb kupujesz?” Tak matka na to: „Juźcić że wesele! Jak je chleb, to je i wesele!” Rozśmiała się: „Hej, jarmark! Hej, Pyłypok!” A Tyt: „Czomu ne s załyty, koły prystupaje ?” I zaraz zaczął pokrzykiwać: „A nu małyj ! A nu krasnyj!” Bo tam pod rozświetnią potajnik. Koło potajnika i na woły ciężko. To my wtedy ostatni chleb jedli! Mówił to powolnym, dość cichym, jakby zmęczonym głosem, Sam ten głos świadczył, że jarmark na Pyłypa dawno już był, dawno... Obrońca nie przerywał chłopcu. Można by nawet mniemać, że gadania tego wiejskiego poganiacza słuchał chciwie, tak się pochylił ku niemu, tak patrzył w niego rozgorzałym okiem, z twarzą pobladłą i z drżącymi ustami. Chłopak umilkł, a on słuchał jeszcze. Roześmiał się polem z cicha, gorzko, i ku stołowi zwrócił. Mimo pozornego spokoju znać było, że płonie jak roratna świeca. Głowa jego zapomniawszy zwykłych swoich ruchów, podnosiła się coraz wyżej, coraz śmielej: oczy już nie z dołu w bok, ale z góry biły jak siekańcem w hafty, pierścienie i wstęgi. Panowie pospuszczali oczy: niechętnie przyjmowano cały ten epizod sprawy. To rozpytywanie chłopaka, ta kupka wywołanych nie wiadomo po co z właściwego miejsca oberwańców, wszystko to podobać się nie mogło. Uważano to za romanse dobre w książce, ale nie w sądowej sali. Nie dlatego, żeby to były samolubne, zimne dusze, owszem, ten i ów odwrócił oczy nie mogąc patrzeć na znędzniałe postacie chłopiąt, ten i ów czuł wielką przykrość na widok tej bezbronności i tego sieroctwa, ale każda rzecz na swoim miejscu właściwa. Najbardziej zdumiony był woźny. Ten po prostu oczom własnym nie wierzył i tak kręcił głową, że ledwo trafiał z tabaką do nosa. Od kiedy jest przy sądzie, nie było tu jeszcze takiej komedii. A to poczekawszy tyjatr tutaj zrobia!- Tyle co do chleba, a raczej co do braku chleba! - kończył w tej chwili rzecz swoją obrońca. - Ale pan prokurator dostarczył mi w światłym przemówieniu swoim jednego jeszcze punktu, na którym sprawa moich klientów też się sama broni- Pozwolę sobie punkt ten podjąć i powtórzyć tu trafne słowa dostojnego mówcy: „Oto jest narzędzie występku!” - rzekł on wskazując drobny przedmiot, leżący w tej chwili przed obliczem Wysokiego Sądu. Jest to jedno z najtrafniejszych, jedno z najbystrzejszych i najbardziej decydujących orzeczeń, jakie wyszły kiedykolwiek z ust dostojnego oskarżyciela w tym przybytku sprawiedliwości i prawdy. Nic też lepszego i pożyteczniejszego dla sprawy klientów moich uczynić nie mogę, tylko to orzeczenie podjąć i powtórzyć: -

Panowie! Oto jest narzędzie występku! Wyciągnął rękę ku stołowi szerokim, wspaniałym gestem i patyk wskazał. Obecni poruszyli się, sami nie wiedząc czego, zdawać się mogło, że ta wyciągnięta ręka dotknęła ich piersi. Ale pan prokurator patrzył na pana obrońcę niepewnym, osowiałym wzrokiem. "Coże on, duszeczka! Kpi czy o drogę pyta? Taż jemu, adwokatowi, zbijać prokuratorską rzecz! Taż on od tego właśnie! A ten, patrzajże, duszeczka ty moja, sam tak gada, jakby prokuratorem był!" Zakołysał się na fotelu w lewą i w prawą stronę i ustami cmoknął. Ale pan obrońca podrzucił głowę i rzekł: - Widzę wzruszenie wasze, moi panowie. Ale raczcie się uspokoić, proszę! Tym narzędziem występku nie jest ani topór, ani siekiera, ani nawet kozik albo dłutko, jest to prosty... nie, myślę się!... jest to zakrzywiony patyk! Patyk, jakim każde drzwi w poleskiej chacie otworzyć można kładąc go w otwór i podważając drewniany skobelek zamykający ją z wewnątrz. I czy chcecie widzieć, panowie, jaka ręka, jaka siła władała tym narzędziem występku? Odwrócił się, uchwycił Ustima za rękę, pociągnął w górę łątany rękaw jego świtki i grubej, nie dobielonej koszuli i obnażywszy rękę chłopaka tak niemal cienką jak wierzbowa witka: - Oto jest to potężne ramię! - zawołać głośniej może, niżby przystało przed tak dostojnym zebraniem. Nagle pochylił się ku chłopcu żywym ruchem i patrzył na gęste, czerwone bąble, które pokrywały cienką jego rękę. - Heto szczo? - zapytał stłumionym głosem. - Prusy skusali! - odrzekł Ustim z głębokim spokojem. Oczy pana adwokata błysnęły ciemnym żarem. Przez chwilę trzymał je wbite w znędźniałą twarz dziecka, z dziwną mieszaniną uczuć sprzecznych, z dna duszy dobytých, odwrócił się potem do stołu, rozszerzył usta jakby do uśmiechu i rzekł obojętnym, nieco drżącym głosem: - Wysoki Sąd darować mi raczy. Przestraszyłem się. Może nawet przestraszyłem którego z was, panowie? Przebaczcie! Myślałem, że ten dzieciak chorobę nam tu jaką przyniósł... jaką dżumę... Ale nie Jest to tylko nędza. Nic więcej, moi panowie, tylko wielka, wielka nędza! Puścił rękę chłopaka, skłonił się i zrobiwszy kilka niezgrabnych, powolnych kroków ku stołkowi, usiadł; na jego wysokie, łysiejące czoło wystąpiły teraz drobne krople potu. Dziwna rzecz! Nie przerzucał w tej chwili głowy ani na prawe, ani na lewe ramię, tylko ją trzymał prosto, sztywnie; szeroko otwarte jego oczy patrzyły w jakąś dalekość, a cienkie wargi zaciśnięte były i surowe. Stracił w tej chwili do reszty charakterystykę obrońcy z urzędu. Nagle w ciszy, jaka teraz salę objęła, dało się słyszeć słabe, żalodne skomlenie pokurcia. Najmłodszy z chłopców drgnął, otworzył usta i podniósł ku oknu duże, modre oczy. - Kozyrek!... Kozyrek heto ! - zawołał przenikliwym, dziecięcym głosem. - Kozyrek heto zawaywaje... Stąpił krokiem, chciał iść, do Kozyrka chciał. Nie widział teraz nic, nie słyszał nic. - Kozyrek zawaywaje !... Ale Benedyć przytrzymał go za rękaw siwej koszuliny. Benedyć, patrzący na wszystko rozważnym wzrokiem, widział, jak się łańcuch na piersiach pana przydującego poruszył i jak za tym poruszeniem poruszył się także jego pięknie wygolony podbródek. Pan prezes mówił. Benedyć słyszał dobrze, zrozumiał nawet, że pyta o imię rwącego się do Kozyrka chłopca. - Chwedoś! Chwedoś Pyptiuk! - przemówił rezolutnie. Pan prezes przerzucił ręką papiery. - Jakże Pyptiuk? Nazwiska tego nie ma w protokole! Siedzący obok pan inkwirent papiery przed siebie z lekkim pochyleniem głowy przesunął, znów je przejrzał i brwi podniósł wysoko. Istotnie, o żadnym Chwedosiu Pyptiuku nie było tam mowy. Jeszcze raz tedy spytał o nazwisko chłopca. Ale dzieciak nie wie nawet, że tu o nim mowa. Szeroko otwarte oczy jego robią się coraz przezroczytsze, coraz bardziej srebrne; posiniałe, do przemarzłej leśnej maliny podobne usta drgają powstrzymywanym płaczem. Całą tę drobną istotę pochłania w tej chwili żalodny głos pokurcia,

ciche, niespokojne skomlenie przedostające się z ciemnej ulicy do tej wielkiej sali. Chciałby tam iść. Chciałby iść na ten wiatr wiejący, na ten deszcz siekający, ot tak, jak stoi, w tej paczesnej koszulinie siwej, bez zaścieżki, na piersiach rozwartej. Chciałby iść przytulić się do mokrej sierści, do kudłatego łba skomlącej psiny. - Kozyrek heto... Kozyrek zawywaje !- Chwedoś, Chwedoś Pyptiuk! - tłumaczy tymczasem sądowi coraz rezolutniej Benedyc. Jest on w tej chwili usposobiony jak najlepiej. Cóż tam gadali we wsi: Sąd! Sąd! Matka płakała, ojciec mu na odchodnym coś ze trzy razy pięścią w kark wlepił z tej żalości, a tu przecie nic strasznego! Nie biją, nie wymyślają, pięknie sobie siedzą, spokojnie. A co o ser i o masło, to najmniej! A to i tego nie wiedzą, jak się taki durny Chwedoś na przezwisko nazywa. Rozśmiał się w garść cicho, przebiegle, jak tylko Poleszuki śmiać się od małego umieją. Gdyby się wilczęta po lasach śmiały, musiałyby tak właśnie wyglądać, jak wyglądał w tej chwili Benedyc. Pan prezes wszakże niecierpliwie zaczął. - To jakże?... Pomyłka?... A?... A-gdy inkwirent brwi tylko podniósł i rozłożył dłonie: - Ty jak się nazywasz? - zwrócił się prezes nagle do błyskającego białkami rozweselonych oczu Benedycia. Chłopak był w siódmym niebie. Ta indagacja podobała mu się coraz bardziej. Wysunął się z gromadki i rzekł różnym głosem: - Tichobaj! Benedykt Huc, stoi w protokole! Cóż ty? A?... Benedyc o krok jeszcze posunął się dalej. Czuł się tak ośmielonym, tak spodufalonym z sądem, jakby sam do niego należał. - Neścior Syrycz, heto bat5ko ! Huc taj Syrycz taj Neścior ! A że Benedyc, taj Tichobaj, heto ja ! Uderzył się drobną pięścią w kożuszyne rozchełstaną na piersiach i rzucił oczyma na prawo i na lewo, niezmiernie zadowolony w swej ambicji. Gdzie inni! Stoją tam jak te cielęta w kojcu, a on tu sobie przed samym stołem, przed samymi panami! Przełknął ślinę, wyprostował się, ręce po bokach puścił, a kolana i bosc stopy mocno ścisnął, jako to widział u stojącego przy progu żołnierza. Pan prezes wzruszył z lekka ramionami. - To i jakże wołają ciebie ? Syrycz, Huc czy Tichobaj ? To i ojcu twemu Tichobaj? A?... Na chłopaka aż ognie biły z uciechy, że jeszcze tej paradzie nie koniec. To mu pochlebiało, to go napełniało dumą. W sali nastała cisza. Tymczasem w oczach pana adwokata błyskała jawna złośliwość. Zgarbił się na swoim stołku, głowę na ramię przechylił, o kolano łokieć oparł i skubał ciemną, rzadką bródkę. Dopiero kiedy przydujący, straciwszy nadzieję dojścia do ładu z indagowanym, zagłębił się zniechęcony w fotelu, wstał z wolna pan adwokat ze swojego stołka, a nie przestając skubać rzadkiej bródkę, skromnie spuścił oczy i rzekł suchym, obojętnym głosem: - Wysoki Sąd przyjąć zechce do swej wiadomości, że lud w tych okolicach nosi zazwyczaj więcej niż jedno nazwisko! Rzekł, podniósł nagle głowę i uderzywszy bystrym wzrokiem w samą twarz dzieciaka zapytał rubasnie, z chłopską: - A ciebia jak zowut5 z bat5ka, hę? Chłopak jak na komendę obrócił się ku niemu. Jasny rumieniec wybił mu na liczko; coś bliskiego, coś swojskiego poczuł w tym pytaniu. - Benedyc Huc! - odkrzyknął cienko a donośnie. - A w kancelaryi jak zapisali? - pytał dalej pan obrońca nie wychodząc z chłopskiego akcentu. - Benedyc Syrycz! - objaśnił natychmiast malec. - Dobrze! - zawołał obrońca. - A we wsi jak drażniat ciebia ? - Benedyc Tichobaj! - huknął chłopak jak o staje drogi, rad, że się wreszcie dokładnie dał zrozumieć. Pan prezes powstał, objął okiem zebranych, pomilczał chwilę i przystąpił do zreasumowania sprawy. Wszystkie spojrzenia zwróciły się teraz na niego. Był to młody jeszcze, wysoki, piękny brunet, którego dorodna postać wybornie się prezentowała w obcisłym mundurze. Głowę miał postrzyżoną krótko, czoło głęboko wrębione i cofnięte nieco, lekko garbaty nos o cienkich, rasowych, rozdymających się nad

niewielkim wąsem nozdrzach, spojrzenie bystre i chłodne. Głos jego był metaliczny, suchy nieco; wymowa dobitna, mocno akcentowana. miała w sobie rytm ujarzmionego i powstrzymywanego pędu. Jedną ze szczupłych, długich rąk nerwowych założył za mundur na piersiach, drugą czynił małe, wytworne poruszenia, dodające słowom jego niezwykłej precyzji i siły. Gruzinem być musiał lub Czerkiesem z rodu, przynajmniej wskazywały na to charakterystyczne rysy twarzy, piękne podłużne oko o ciemnej, jakby przygorzałej, powiece i matowa śniadość cery, która pod wpływem światła palących się w sali nabrała ciepłych, południowych blasków. Był to jeden z tych mówców, którzy nad słuchaczami panują nieodpartą siłą logiki i beznamietności. Poczuli to panowie przysięgli od pierwszego słowa. Cały ich dyletantyzm zniknął gdzieś bez śladu, uwaga się zaostrzyła, skupiły rozproszone myśli, pan Hieronim nawet zapomniał o oczekującym go u Froima szczupaku i wiście. A nie tylko poczuli siłę tej wymowy, ale jej sprawność i jej szyk wojenny, który ich uporządkował wewnętrznie i karnością natchnął. Teraz byli naprawdę sędziami. Przede wszystkim sam fakt, sama istota czynu stanęła przed nimi oderwana od nazwisk, osób, miejsc i przedmiotów, prosta, wyrazista, naga. Spełnioną została kradzież. Był to punkt, na którym stanęli mocno; i mówca, i oni sami. Punkt ten, ogołocony z wszelkich dodatków i określeń, podrósł niejako i utworzył rodzaj wyniosłości, z której pole walki na wskroś było widnym. Rozwinął teraz przed nimi mówca merita sprawy krótką, frontową linią. Zdziwili się panowie przysięgli jej jednolitości i sile. Zaledwie jednak mieli czas objąć ją należycie wzrokiem, kiedy nagle rozdzieliła się w ich oczach, a spoza niej wysunęło się prawe i lewe skrzydło: kradzież prosta i kradzież z włamaniem. Natychmiast z jednego i z drugiego flanku zaczęły błyskać ostrza; cięcia krótkie, sprawne, mistrzowskie, którymi panowie przysięgli olśnieni byli i oczarowani. Były to jednocześnie błyskawice i ciosy: uderzały i oświecały jak miecz i jak piorun. Teoria kradzieży prostej stała teraz jak mur; teoria kradzieży z włamaniem jak szyk nieprzemierzony. Rozdzieliła je przestrzeń zrazu niewielka, potem rosnąca i zagłębiająca się z każdym słowem mówcy. Było to najpierw wyłobienie, potem fosa, potem nieprzebyta otchłań. Zdumieli się panowie sędziowie, że mogli łączyć kiedykolwiek te tak dalekie od siebie, tak różne i tak wielką przepaścią rozdzielone rzeczy. Ale mówca nie pozostawił ich długo pod wpływem tego jednego widoku. Przemówił, zrobił mały, nieznaczny ruch ręką i każde z obu skrzydeł rozpadło się raz jeszcze, tworząc regularny czworobok. Tak kradzież prosta, jak kradzież z włamaniem mogła być spełniona pojedynczo albo i zbiorowo. Teoria stowarzyszeń przestępczych, jedna z najświetniejszych tez prawa karnego, jakich mistrzowskim przedstawieniem rozporządzał mówca, dostarczyła mu przepysznych, po prostu olśniewających zwrotów, których największą siłą była ich niezrównana prostota. Żadnego zamieszania, żadnej dwuznaczności. Cechy obu rodzajów przestępstw zostały określone jasno, szeregowane systematycznie, postawione niezachwianie, wskazane dobitnie- Premedytacja, która po stronie pojedynczo spełnionych przestępstw powiewała jak lekka chorągiew wiatrem obracana to na nice, to na lice, tkwiła po stronie przestępczości zbiorowej jak niewzruszony a posepny sztandar. Fatalny czworobok zamknął się przed oczyma przysięgłych: w pośrodku jego ziała przepaść. Czy ją widzieli? Nie wiedzieć. To pewna, że otworzyły się przed nimi nowe widnokreśli, że udzieliło im się coś z siły i bezpośredniości samego mówcy. Wzrok ich się zaostrzył, słuch wysubtelnił. stopień wrażliwości wzmógł do wysokiego napięcia. Z niesłychaną bystrością chwyтали nie tylko słowa mówcy, ale każde nagięcie, każdy nacisk jego głosu. Innym oni teraz okiem patrzą i na obwinionych, i na dowód winy.

Zakrzywiony patyk był istotnie tylko odmianą klucza, który cudze zamki otwiera i cudze drzwi uszkadza; w chropowatości jego dostrzegali zdradzieckich karbów, przemyślnie wyciętych po to, żeby nieomylnie dobyć się do cudzego mienia. Kiedy mówca, demonstrując, uczynił mały ruch ręką, jakby klucz ten przekręcał w zamku, panowie przysięgli wyraźnie słyszeli zgrzyt jego złowieszczy i trzeszczenie podważanego skobla. I sami oskarżeni przedstawiają się teraz w zgoła innym świetle. Nie jest to już kupka zalęknionych i zbiedzonych dzieci, ale szajka złodziejska zorganizowana w przestępnych i przez kodeks kryminalny przewidzianych celach. Nie są to głodni poganiacze wiejscy, razem pasący gęsi i cieleta, którzy pod wpływem burczenia w pustych żołądkach i drażniącego je zapachu świeżych serów dopuścili się nagannego wykroczenia, ale niebezpieczna dla spokoju publicznego banda małoletnich hultajów, którzy aż nadto mieli sposobności i czasu obmyśleć swój czyn karygodny zbierając się o jednej dnia porze i na jednym miejscu. Co było osobliwym w tych pomyśleniach i uczuciach, to że zdawały się zupełnie oderwanymi od wszystkiego, co uprzednio zrobiono w toku sprawy czy to dla oskarżenia, czy dla obrony podsądnych. Istotnie: wyborny mówca prawil tak, jakby przed nim ani prokurator, ani obrońca nie byli zabierali głosu. Nie podnosił oskarżenia, nie zbijał obrony, nie dotykał osób, sam czyn pomijał niemal. On rozwijał tylko zasadę odnośnego prawa. To świetne résumé -- a był to jeden z najniebezpieczniejszych uroków jego - obracało się wyłącznie w sferze abstrakcji: beznamietne, chłodne, wytworne, zdawało się być akademicką rozprawą raczej niżeli epizodem chłopskiej karnej sprawy; a ta kupka obdartych i znędzniałych dzieci odgrywała tu rolę takiego A B C lub takiego X Y Z, jakie się dla plastyki dowodzenia stawia, ale które ze względu na wynik dowodzenia nikogo nie zajmują zgoła. Ta oderwanosc nie tylko udzieliła się panom przysięgłym chroniąc ich od grubo działających na zmysły wrażeń rzeczywistości, ale ogarnęła stopniowo całą tę wielką, pustą salę sądu. Surowy, bezcielesny duch prawa tchnął na nią i tchem tym wypełnił wszystkie jej zakąty.

Pan prezydujący kończąc mowę swoją zszedł do paragrafów: nie można zostawiać przysięgłych w nieświadomości co do skutków orzeczenia stopnia i rodzaju winy. Kara za kradzież bywa bardzo różną. Inaczej karze prawo kradzież spełnioną przez jednostkę dojrzałą, inaczej przez małoletnią; inaczej spełnioną pojedynczo, a inaczej spełnioną zbiorowo, która zazwyczaj nosi na sobie obciążającą cechę rabunku; inaczej wreszcie zapatruje się kodeks na kradzież prostą, a inaczej na kradzież z włamaniem. Ta ostatnia należy do kategorii ciężkich przewinień i nawet przez małoletnich spełniona, więzieniem do dwu lat jest karana. Skończył i usiadł. Trwająca mniej więcej pół godziny mowa zostawiła go równie świeżym i równie chłodnym, jak był wtedy, gdy się zabierał do niej. Na gładkim, wysokim czole nie przybyła ani jedna zmarszczka, złotawe źrenice pięknych, podłużnych oczu ani się zapaliły, ani przygasły. Ostrzejsze tylko i bardziej nerwowe były może poruszenia szczupłej, długiej ręki, głos tylko był suchszy i twardszy. Panowie zza stołu wychodzili do obocznej izby. Oddalano się dla sformułowania pytań, które miały być stawiane przysięgłym. Sąd oddalał się poważnie, uroczyście, z wolna, panowie szli jeden za drugim, stosownie do godności i urzędu. Ale obrońca patrzył za nimi z właściwym sobie uśmiechem; dostrzegł go pan prokurator i dobrodusznie zakołysał głową: - Taki u niego, duszeczki, prokuratorowska mina, a?... W sali tymczasem wszystko odetchnęło jakby, zakołysały się głowy, poruszyły oczy, rozplotły złożone ręce, rozprostowały grzbiety i kolana. Małe szepty szły ławą świadków jak mały wiatr polem, niepokojąc je z lekka i ulotnie; lyczkowa tabakiera znów się wynurzyła z

kieszeni którejś kapoty. Ale did swoją brzoźówkę już w ręku trzymał i trzęsąc głową częstował w kolej siedzących, wkupując się niejako tym sposobem do towarzystwa. Tabaka była mocna, lichy wie czym zaprawna, ludziom zaczęło okrutnie w nosach kręcić, więc się mile ku dziadowi mieli i zarazmu się z brzeżka ławy umykał ten i drugi. Pan obrońca na swoim stołku nudził się widocznie. Może drzemał nawet. Przynajmniej tak. się zdawało woźnemu, który widział podpartą jego głowę i rękę nastawioną u skroni. Ale czego woźny nie widział, to oczu pana obrońcy. A jednak godne one były widzenia w tej chwili. Szeroko otwarte, w kupkę dziatwy white, wydawały się one zrazu puste i bezbrzeżnym napełnione smutkiem, jak te wydmy piaszczyste, na których nic nie rośnie, nawet i piołun, nawet i dziewanny. Słońce tylko chodzi nad nimi gorące, spiekle, przeraźliwie jasne i wypala resztę wilgoci ziemnej, resztę tchu żywego. Siedział tak jeszcze, gdy nagle zabrzmiało: Sąd idzie! Powstali wszyscy. Pan obrońca wstrząsnął się, jakby przebudzony ze snu. - Sąd idzie! Sąd... Sąd idzie! -zaszeptaly głosy. Chłopcy wyciągnęli szyje ku drzwiom i otwarli usta jak wrota. Jest coś uroczystego, coś dziwnie przejmującego w tej chwili. Dotąd była to rozterka, wątpliwość i nie pogodzona sprzeczność; dotąd był ni dzień, ni noc; jakiś ład był naruszony, jakiś porządek zachwiany, jakaś mściwość rozbudzona, jakaś groźba głośna. Ale teraz Sąd idzie. Idzie sprawiedliwość, światło i uspokojenie. Sumienia się ucieszą, krzywda podniesie głowę, wina będzie okupiona, obciążone piersi odetchną. Surowy, bezcielesny duch prawa zmienia się w postać wspaniałą i tryumfującą. Wielka pusta sala nie drży już pod zimnym tchem jego: wszystkie jej zakątki zalewa teraz światło. - Sąd idzie! Panowie zasiadają z pośpiechem swe miejsca za stołem; prezes nie siada nawet. W pięknej jego ręce szeleści drobna ćwiartka papieru, na której postawiono pytania. Są krótkie i jest ich dwa tylko. Pierwsze: czy kradzież spełniona przez podsądnych w wiadomych okolicznościach obciążających jest kradzieżą prostą? I drugie: czy jest kradzieżą z włamaniem? Słowa te, jasne i beznamietne, brzmią w wielkiej pustej sali dźwięcznie i donośnie. Nie jest to jeszcze wyrok, ale błysk miecza podniesionego pewną, silną ręką. Takie przynajmniej wrażenie robią one na panu obrońcy, który nagle kuli ramiona, przechyla głowę w tył i mruży oczy. Miecz ten wszakże nie zostawia nikogo bezbronnym. Owszem: sprawiedliwość, która go dzierży w ręku, troskliwą jest i pieczołowitą w tej ostatniej chwili, niemal tak jak litość. Zostawia ona raz jeszcze głos oskarżonemu. Chce, by przysięgł, gdy im między tak a nie wybierać przyjdzie, towarzyszył głos ten zalekniony, drżący i błagalny. Chce, żeby w oczach zostało spojrzenie szukające w ich piersiach cieplej ludzkiej duszy. Chce, żeby przed podsądnym żadna droga obrony zamkniętą nie była: zostawia mu przemówienie ostatnie. W duchu tego pięknego prawa zapytał pan prezydujący głośno i dobitnie, czy podsądni mają jeszcze co do powiedzenia? Panowie przysięgli wyszli, aby się naradzić. Ściśle rzeczy biorąc, nie było się nad czym i naradzać nawet. Sprawa była jasna, czyn przyznany, okoliczności wiadome - Tak rozumowali jedni. Drudzy mieli skrupuły. Szkoda drobna, dzieciaki głupie; stosować do nich wielkie paragrafy karne to jakby iść z armatą na muchy. Gdzież zaś kto słyszał nazywać rabunkiem zjedzenie funta masła i trzech krajanków sera? Gdzież kto z patykiem takim gwałtu i włamania dopuścić się może? Podzieliły się głosy. Bierniejsze umysły pozostawały jeszcze pod wpływem abstrakcji prawnych i świetnej mowy prezydującego; samorzutniejsze już się otrząsnęły nieco. Ale pan Hieronim, który się dotąd zdecydować nie mógł, a któremu się okrutnie do szczupaka i do wista śpieszyło, przyłączył się nagle do kategorii pierwszej i utworzył większość: Czas było nareszcie skończyć z tą

mizerią!Rzecz oczywista i jak słońce jasna, że kiedy drzwi były zamknięte, a zostały otwarte, to był to gwałt, było włamanie. Jeżeli zaś spoza drzwi otwartych w ten sposób skradziono masło i sery, to była to kradzież z włamaniem. Po tym rozumowaniu, tak jasnym i kategorycznym, jeden jeszcze głos oderwał się od mniejszości i do większości przeszedł. Był to sąsiad i przyjaciel, a jak teraz, u Froima, partner pana Hieronima. Musieli się trzymać razem. Nie było co, sprawa została zadecydowaną. Na sali zabrzmiał dzwonek. Panowie przysięgli wynosili werdykt. Na pierwsze pytanie większość głosów odpowiedziała: nie. Na drugie większość głosów odpowiadała: tak. Przepięstwo zostało zakwalifikowane jako kradzież z włamaniem.

K O N I E C